

**Opis bibliograficzny:** Urszula Czartoryska, *Biologia i sentymenty*, "fotografia", 1959, nr 4, s. 540-541

**Uwagi:** tekst nieedytowany

**Słowa kluczowe:** fotografia humanistyczna

---

**Tekst:**

Jak to dobrze, że oglądamy w Polsce słynną wystawę, że „Family of Man” nie jest już legenda, że obcujemy z nią bezpośrednio! Możemy nie tylko przyglądać się poszczególnym zdjęciom, ale i śledzić myśl autora ekspozycji- Steichena, wyrażoną w doborze, zestawieniach formatów, w atmosferze emanującej z dołączonych tekstów.

Nie chce powtarzać treści komunikatów prasowych, uwag wypowiedzianych w dyskusjach, które odbyły się w wielu ośrodkach fotograficznych w kraju, ani myśli artykułu Alfreda Ligockiego sprzed trzech lat („Fotografia”, nr 6, z 1956 r.) - nie mogę jednak nie wyrazić uczucia wielkiej satysfakcji, jaką daje oglądanie wystawy. Zdjęcia są niejednokrotnie tak świetne i demonstrują tak ciekawe zjawiska z dziedziny obyczajów i wzruszeń doznawanych przez ludzi o różnych kolorach skóry! Nigdy nie będzie za dużo podkreślania cudownej, a nie znanej dawniej człowiekowi umiejętności dokonywania wiernego i dynamicznego, prawdziwego dokumentu życia, jaką dała fotografia. Wydaje mi się, że to nie tylko wydoskonalony, czuły i szybkostrzelny sprzęt fotograficzny dał człowiekowi te możliwości - to on sam dojrzał do tego, to on sam wyostrzył swoją spostrzegawczość i wrażliwość na to, co inni ludzie przeżywają, co robią, jak wyglądają. Mamy tu do czynienia z sytuacją, gdy wynalazek, stworzony przez człowieka, rozwija z kolei jego zdolności, stawia przed nim nowe problemy, tak jak w zamierzonych czasach wynalezienie instrumentów muzycznych zapoczątkowało kolosalne zmiany w psychice ludzkiej, wyculając nie ujawniony dotąd zmysł muzyczny. Nie zdajemy sobie na codzień sprawy, jak bardzo jesteśmy dziećmi „wieku fotografii”, jak ogromnie rozszerza ona naszą informację i wiedzę, wychowuje i kształtuje poglądy, jak - z drugiej strony - jest ułatwionym środkiem wypowiedzi dla wielu z nas, którzy często w żaden inny sposób - słowem pisanym, mówionym czy formą plastyczną - nie potrafilibyśmy czegokolwiek sformułować z tego, co mamy innym do zakomunikowania. Faktem jest, że niejednokrotnie

jesteśmy świadkami zjawisk interesujących i że jedynym dostępnym i najlepszym narzędziem utrwalenia ich jest fotografia.

Edward Steichen wiedział, że miliony osób posiadających aparaty fotograficzne - od zawodowych aż po najskromniejszych amatorów z całego świata - są potencjalnymi szafarzami bezcennego materiału, który zebrany w całość, obejmowałby wiedzę o człowieku nie mniej istotną niż wyniki badań socjologów, psychologów i etnografów. Popularne zdjęcia - czy to reporterskie, czy pamiątkowe, amatorskie - zyskały w rękach Steichena nową wartość, stały się ogniwem epepei o życiu ludzi, stały się narzędziem propagandy.

Do jakiego rodzaju propagandy użyte zostały owe 503 zdjęcia, wyszukane spośród dwu milionów nadesłanych organizatorom wystawy? Idea ogólna jest przejrzysta - braterstwo ludzi podlegających tym samym prawom życia, rozległość i podobieństwo ludzkich zainteresowań, potrzeb i wzruszeń. Wystawa zawiera doskonale zdjęcia, stanowiące rewelację dla [s.541:] nas, nie znających wielu szczegółów z życia różnych narodów: obrządków pogrzebowych i zabaw Afrykanów, uprawy pól ryżowych w Azji, nauki w szkołach żydowskich, sposobu bycia młodzieży amerykańskiej; zdjęcia wstrząsające wymową prostych gestów, fizjonomii. Nie sądzę jednak, aby rewelacją mogłaby być sama idea wystawy - od czasu pierwszych podróży Fenicjan, poprzez wyprawy Marco Polo i ostatnie badania archeologów - wszystko utwierdza nas w przekonaniu, że ludzie należą do jednego gatunku homo sapiens. Stwierdzenie to jednak w niewielkim tylko stopniu pomaga nam poruszać się w gąszczu indywidualnych i socjalnych problemów naszych czasów, a w każdym razie nie powinno przesłaniać obrazu krzywd społecznych i wad natury ludzkiej. Odnoszę wrażenie, że w drugiej połowie dwudziestego wieku, wymowa ideowa „Rodziny człowieczej” jest nieco spóźniona, prawie anachroniczna, z całą jej ufnością w uszlachetniający wpływ głoszonych haseł i biblijnych wersetów.

Spróbujcie wybrać na przykład zdjęcia z Afryki: mieszkańcy Czarnego Łądu polują, piją wodę ze skorupy orzecha kokosowego, obejmują swoje dzieci, tańczą w blasku ognisk - są żywiołem i nic nie świadczy o tym, że ukonstytuowali już dziś kilka samodzielnych państw. Zdjęcia z Indii - na wystawie przedstawionych wprowadzie jako kraj głodu - nie stanowią dostatecznego oskarżenia, a tylko bodziec do wzbudzania w sobie uczuć litości i współczucia, niezbyt jednak niepokojących. Takie właśnie jest działanie całej wystawy - poza bogactwem przeżyć estetycznych, których dostarcza widzom - łagodna zachęta do uprawiania cnoty życzliwości,

do ogólnikowo pojętej, właściwie biologicznej, solidarności ludzi - osobników jednego gatunku, podczas gdy z tego samego materiału zdjęciowego można było zmontować coś znacznie bardziej niepokojącego, głębiej poruszającego zastałe konwencje myślowe. Na wystawę Steichenowską trzeba patrzeć historycznie: jest przejawem poglądów i pokazem metod dydaktyki określonego środowiska.

Z całej ekspozycji najbardziej przejęła mnie jedna powtarzająca się nuta - atmosfera nierozrwalnego związku człowieka z przyrodą. Wątek ten przewija się nie tylko w scenach z życia chłopów - europejskich, brazylijskich, czy wietnamskich, ale odzywa się również w zdjęciach z zacisznych cmentarzy, z nadmorskich plaż, zarośli, w których bawią się dzieci, z łąk, gdzie obejmują się zakochani. A o działaniu poszczególnych fotogramów nie mogę pisać, byłoby to wyliczanie zbyt dużej ich liczby. Niech mi będzie wolno tylko podziękować organizatorom za dostarczenie nam w Polsce tak wielkiego przeżycia.